WTOREK

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

Nr 97 15 VIII 1989 r. Cena 45 zł

MAMY PREZYDENTA

19 lipca 1989 roku najwyższy urząd w naszym państwie, urząd Prezydenta Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej objął generał Wojciech Jaruzelski. Przez 6 lat sprwować będzie tę zaszczytną funkcję jako przedstawiciel i reprezentant Polski na krajowej i międzynarodowej scenie politycznej.

Komentarz związany z tym wydarzeniem – strona 3.

Czy Kylie Minogue uda się podbić Amerykę? – dowiecie się z „Gwiazdozbioru"

Wakacyjny Konkurs Poetycki

FIRMA POETYCKA ZŁOTY SZERSZEŃ

Chwilo, trwaj!

Jesteś tak piękna

★ ★ ★

Walę w klawisze
bezładnie
I nagle
spod mych palców
wylatuje motylek
Mama mówi
jakie to ładne
zagraj jeszcze raz
A ja już nie potrafię

Olga Szkolnicka, 12 lat
Opole

Ci, którzy chcą wziąć udział w plebiscycie na najładniejszy wiersz wakacyjnego konkursu poetyckiego, niech porównają utwór Olgi z innymi. **(brz)**

WIT-ek – sezonowa agencja informacyjna „Świata Młodych". Ukazuje się tylko w czasie wakacji. Zbiera informacje – informacje przekazuje.

WIT-ek w każdym numerze „Świata Młodych"

• WIT-ku czy byłeś już w Hrubieszowie? Bardzo ciebie i wszystkich turystów zapraszam na nasze ziemie. Wszędzie tu u nas bardzo pięknie. W każdą dróżkę i w każdą drogę warto wejść i iść nimi przed siebie. Przy każdej będzie coś co warto zobaczyć i poznać. Hrubieszów leży nad rzeką Huczwą, ale bliziutko są łąki doliny Bugu, żyzne ziemie i wiele, wiele wspaniałych zabytków i w samym mieście, i w najbliższych okolicach.

Byłyśmy z koleżankami na biwaku. Pojechałyśmy rowerami aż do Zosina. Za wsią Teptiuków, za Huczwą jest wieś Gródek. W widłach rzek Huczwy i Bugu są ruiny Zamczyska i kurhan Księżycowa Mogiła. Stamtąd są najpiękniejsze widoki na świecie zwłaszcza przy pełni księżyca... – **„Aga" z Hrubieszowa**

Na fot. *Lu Château – barokowo-klasycystyczny dwór z XVIII w. Obecnie Muzeum Regionalne i siedziba Towarzystwa Regionalnego Hrubieszowskiego im. St. Staszica.*

• Wielu turystów zna Zgorzelec tylko „z widzenia" tzn. przejeżdżają przez to graniczne miasto jadąc za lub wracając z zagranicy. A szkoda, bo to przedmieście (tak, tak ta polska część miasta leżąca po prawej stronie Nysy Łużyckiej była ongiś przedmieściem Görlitz) jest teraz ładnym 35-tysięcznym miastem. I jest w nim to i owo do zobaczenia.

WIT-ek proponuje obejrzenie np. fasady domu przy ul. Langiewicza 7. A czy sami mieszkańcy Zgorzelca wiedzą co ciekawego znajduje się w piwnicy domu przy ul. Wrocławskiej 4? A kto widział zgorzeleckie pomniki przyrody – lipę o obwodzie 595 cm przy ul. Henrykowskiej, dęby przy ul. Bolesławieckiej 8, głaz narzutowy na pl. Świerczewskiego, a 15-metrową „wychodnię" skalną przy ul. A. Struga?

• Tych, co są teraz koło Opoczna, namawiam – idźcie do Bielowic (7 km w kierunku Radomia). Bielowice to „wieś za bagnami", niemal skansen. Tyle tu starych drewnianych chat i gospodarskich zabudowań. Tylu twórców ludowych – tkaczy, hafciarek, wycinankarek. Zajrzyjcie na tzw. kolonię. Pierwsze zabudowanie po prawej to gospodarstwo pani Marii Jobczyk – jednej z córek Franciszki Dąbrowskiej najsłynniejszej krawcowej zespołu „Mazowsze". Wszystkie córki pani Dąbrowskiej robią cuda – haftują, tworzą „pająki", bukiety papierowych kwiatów, pisanki, szyją i haftują koszule.

Zajrzyjcie też do Janiny i Józefy Gąsiorek (tkactwo, koronkarstwo), do mieszkających w drugiej części wsi rodzin Kwapiszów (ręczniki i bieżniki), Maruszewskich (koronki, pająki, haft), Rzepków, Miśkiewiczów, Pacanów, Ziębów, Wijatów, Piekarskich.

RADA WAGABUNDY

Na dłuższą letnią wycieczkę radzę obuć dobrze impregnowane pionierki. O tym, jak uczynić skórzane obuwie nieprzemakalnym za pomocą prostych domowych środków dowiesz się z „Sakwy Włóczykija" (S. Sosnowski, J. Stykowski, „Sakwa Włóczykija", Wyd. MAW, 1988 r.), którą jeszcze nabyć można w sklepach CSH.

Jeśli dysponujesz tylko „słabymi butami", to w razie konieczności przebrnięcia przez mokry lub błotnisty teren stosuj torby z mocnej plastikowej folii – szczelne i bez dziur. Naciągnij taką torbę na but i w kostce lub na nogawce spodni ściągnij gumą. Oczywiście jest to zabezpieczenie prowizoryczne i na pewno nie na całe wakacje.

Zabłocone buty, jeśli nawet nie przemokły, czyścimy natychmiast po powrocie do domu. Robimy to włosianą lub plastikową szczotką o twardej szczecinie. Buty suszymy bądź w przewiewnym miejscu, bądź w odległości co najmniej metra od źródła ciepła. Jeśli są wilgotne również wewnątrz, należy przed suszeniem włożyć do środka (wypychając lekko wnętrze) zmięte w twarde kule gazety.

WAGABUNDA

REPORTER Świata Młodych

KTO MI PODAŁ RĘKĘ?

NA TURYSTYCZNEJ ŚCIEŻCE

Jak trudno w dzisiejszym świecie spotkać się z uprzejmością, serdecznym uściskiem rąk i promiennym uśmiechem. Z tego powodu pewnie zapamiętałam ten incydent. W lipcu w pierwszym miesiącu wakacji ubiegłego roku pojechałam na obóz harcerski do Sidziny. Obóz ten długo pozostanie mi w pamięci, a także nocne alarmy i wieczory przy ognisku, biegi patrolowe, a przede wszystkim – górskie wycieczki.

Największą wycieczką była eskapada na Babią Górę. Na zdobycie tego szczytu wyruszyło zaledwie 20 osób, tych najwytrwalszych, wśród których (nie wiem jakim cudem) znajdowałam się i ja. Najdrobniejszy szczegół krajobrazu wywoływał mnóstwo entuzjazmu.

Kiedy wreszcie rozczochrani i brudni znaleźliśmy się na wierzchołku i spojrzeliśmy w dal – zamurowało nas. Przez kilka chwil nikt nie mógł wykrztusić ani jednego słowa. Wpatrywaliśmy się w obłędnie piękny widok i w duchu postanowiliśmy, że tu za wszelką cenę musimy jeszcze raz powrócić. Następnie usiedliśmy na kamieniach i druhna wyciągnęła gitarę. Przy jej akompaniamencie śpiewaliśmy wszystkie piosenki o górach, jakie znaliśmy. Wreszcie trzeba było wracać, jednak nikt nie pilnował porządku, szliśmy gdzie i jak komu wygodniej. Z refrenem ostatniej piosenki na ustach: „W góry, w góry, popatrz tam wstaje nowy świt, jeszcze tak nieporadnie chce ominąć szczyt..." nagle weszliśmy w „ las kosodrzewin". Kto był na Babiej Górze to wie, że często kosodrzewiny są większe od ludzi. Ścieżka była dla nas za wąska, więc każdy szukał innego przejścia. Mieliśmy się wszyscy zebrać na dole, na małej polanie. Razem z koleżanką zaczęłyśmy schodzić w dół nikłą ścieżyną. Po 15 minutach zauważyłyśmy, że ścieżka się rozgałęzia. Stanęłyśmy przed dylematem, którą z nich należy iść, tą po prawej stronie czy tą po lewej? Wreszcie doszłyśmy do wniosku, że jak ktoś będzie przechodził, to zapytamy o drogę. Na szczęście nie czekałyśmy długo. Po kilku minutach spostrzegłyśmy starszego pana, który jednak bardzo sprawnie się poruszał. Po naszych wyjaśnieniach powiedział, że zabierze nas ze sobą. Poczęstował nas oszczypkiem i kazał nam mówić do siebie: „Pan Janek": W czasie drogi żywo i barwnie opowiadał o górach i ich legendach. Gdy dotarliśmy „do swoich", bardzo serdecznie mu podziękowałyśmy i chociaż okazało się, że wszystkie ścieżki zbiegły się u tej polanki i nie można było zabłądzić, to i tak byłyśmy mu bardzo wdzięczne. Jak to dobrze, że istnieją jeszcze tacy jak Pan Janek, tacy, którzy nie zawahają się pomóc, zarówno czynem jak i miłym słowem.

Aneta Górka
Zasań

DRUGI DOM

Nigdzie nie wyjeżdżałam podczas lipca i większość czasu spędzałam na działce u mojej babci. Nie lubię grzebania w ziemi, ale owoce – i owszem. Opychałam się więc malinami, wiśniami i porzeczkami ile wlezie. Miałam też sposobność wykonać polecenie szefa LR, bo wysłuchałam opowieści, która kwalifikuje się do przesłania jej do Ligi Reporterów. Opowieści tej wysłuchałam siedząc przy stoliku wśród wiśniowych drzewek obsypanych owocami. Pewnie właśnie te wiśnie, „takie same jak wtedy" – powiedziała babcia – wywołały w niej wspomnienia sprzed blisko 50 lat.

A oto zapisana przeze mnie historia opowiedziana przez babcię Ninę. (Właściwie to nie jest ona moją „rodzoną babcią", ale to chyba nieważne?)

„Miałam 11 lat, kiedy nasz ojciec, oficer w stopniu majora, wykładowca w szkole podchorążych łączności w Zegrzu poszedł na wojnę w 1939 we wrześniu i na długie lata został z nami rozdzielony. Wrócił do kraju z Anglii dopiero w kilka lat po wojnie. Zostałyśmy same z młodszą siostrą i mamą, która nie była przygotowana do radzenia sobie w ciężkich, okupacyjnych czasach. Nie miała żadnego zawodu, jak wiele kobiet żyła z zarobków męża. Potem nauczyła się robić wiele rzeczy i jakoś sobie radziła. Pierwsza zima wojenna była niezwykle ciężka i mroźna. Nie było opału, żywności. A w dodatku, kiedy z Zegrza jechałyśmy jako ewakuowane pociągiem do Warszawy, straciłyśmy wszystkie nasze bagaże! Sytuacja musiała być okropna, skoro ja wraz z siostrą wylądowałyśmy w sierocińcu w Warszawie; prowadziły go zakonnice. Niestety, nie były dla swoich wychowanek ani czułe, ani nawet zwyczajnie dobre. Zapamiętałam ten rok spędzony pod ich opieką jako dni głodne i smutne. Moja siostra była w sierocińcu tylko przez sześć miesięcy, gdyż w ogóle nie chciała jeść tego co nam tam jeść dawano. Ja spędziłam tam całe 12 miesięcy.

W normalnym domu znalazłam się dzięki pomocnej dłoni naszego wujaszka. Dowiedział się o dramatycznej sytuacji, w jakiej tkwimy i ściągnął mamusię wraz z nami do siebie, do domu w Piszczacu. To niewielkie miasteczko na Lubelszczyźnie miało stać się naszym miejscem zamieszkania przez resztę lat okupacji. Wujek był rejonowym agronomem, ale to była jego oficjalna rola, poza tym działał w konspiracji, był w AK. Na ganku domu w przemyślnie zbudowanym schowku na jego szczycie, przechowywał broń itp. O tym na razie jednak nic nie wiedziałam. Dom był drewniany, a oprócz mnie i mojej młodszej siostry były tu jeszcze trzy dziewczynki, córki wujka.

Przychodziła też do nas, a głównie ja się z nią przyjaźniłam, jeszcze jedna dziewczyna, młodsza ode mnie o rok – imieniem Bożena. Była ona Żydówką, gdyż w Piszczacu chyba większość mieszkańców stanowili wówczas Żydzi. Jeszcze nie wiedzieli, jak straszliwy los zgotują im Niemcy. Bożena lubiła czytać książki, ja też, miałyśmy więc wiele wspólnych tematów. Pewnego strasznego dnia wszyscy Żydzi zniknęli z Piszczaca i Bożeny już więcej nie zobaczyłam. Było to przerażające.

W tym wieku, w jakim się wtedy znajdowałam, szybko się jednak zapomina o złych rzeczach, więc i ja zapomniałam o Bożenie. Cieszył mnie ogród, owoce, które w nim dojrzewały, a także i to, że nie bywałam już głodna jak podczas rocznego pobytu w sierocińcu. Zawdzięczałam to wszystko naszemu krewnemu, który wyciągnął nas z Warszawy i stworzył nam dom. I choć bardzo tęskniłam do Tatusia, to dom wujka w Piszczacu był dla mnie przystanią, w której znów mogłam czuć się w miarę bezpiecznie, choć przecież nikt z Polaków podczas okupacji zbyt bezpiecznie czuć się nie mógł. Kiedy Lubelszczyzna została wyzwolona, poszłam do III klasy gimnazjum w mieście powiatowym i zaczęło się nowe życie.

Wujek, za działalność w AK został deportowany w głąb ZSRR i powrócił stamtąd dopiero po ładnych paru latach. O tym wszystkim, czym się zajmował poczas okupacji, o swoich przejściach napisał wspomnienia. Zostały one wydrukowane w książce pod tytułem „Zapis ocalenia". Mój wujek nazywał się Stanisław Lewicki, a występował w AK pod pseudonimem „Rogala"."

Moja babcia była bardzo wzruszona, kiedy opowiedziała mi tę historię, jakich na pewno wiele dostarczyły wojenne wydarzenia milionom naszych rodaków.

E.
Warszawa

BIURO POD

• Poszukuję komiksów „Kurs na półwysep Jork", „Pogromca smoka", „Chram na Lednicy", „W cieniu Światowida", „Nim stanie świt", „Ostatni raport", „Prosto w paszczę Smoka", „Księżniczka Wanda", „Szalony eksperyment" i „Zagłada Atlantydy". Komiksy odkupię lub wymienię na następujące pozycje: „Złoty Mauritius", „Czarna Nefretete", „Polacy na olimpijskich arenach", „O Popielu i myszach", „Piast kołodziej", „W walce z żywiołem", „Gość z kosmosu", „Tytus, Romek i A'Tomek VIII", „Old Shatterhand i „Winnetou" oraz „Ryzyko". **Paweł Chomosa, ul. Mickiewicza 12 m. 18, 05-510 Konstancin Jez.** • Poszukuję komiksów: „Szranki i konkury", „Zamach na Milusia", „Wielki turniej", „Rozprawa z Dajmiechem" oraz wszystkich innych z serii „Kajko i Kokosz" (z wyjątkiem takich jak: „Woje Mirmiła", „Złoty Puchar", „Cudowny lek", „Dzień Śmiechały", „Festiwal Czarownic", „W krainie borostworów", „Skarby Mirmiła", „Szkoła latania", „Na wczasach"). W zamian oferuję komiksy: „Tytus, Romek i A'Tomek (XI i XVIII księga), „Chrzest Bojowy", „Skok w nieznane", „Kapitan Kloss (cz.12), „Władysław Łokietek (teks w j. polskim i j. francuskim) oraz prospekty samochodów osobowych lub gotówkę; **Adam Urbanek, ul. Obr. Westerplatte 54, 41-408 Mysłowice 8.** • Mam książkę Edwarda Rudzickiego pt. „Polskie królowe" cz. II, a chciałabym też mieć część I. Poszukiwania w antykwariacie nie dały rezultatu. Posiadam za to I tom Elizy Orzeszkowej „Nad Niemnem", chciałbym wymienić „Nad Niemnem" cz. I na „Polskie królowe" cz. I. **Ola Zagozda, Dębówka 5, 62-530 Kazimierz Biskup. woj. konińskie.** • Poszukuję znaczków pocztowych krajów afrykańskich. W zamian oferuję różne znaczki z pozostałych kontynentów oraz tarcze szkolne. **Katarzyna Łukomska, ul. Burgaska 6/116, 02-758 Warszawa.** • Pilnie poszukuję następujących numerów „Świata Młodych": Z 1989 roku nr nr 24, 25, 26, 27, 28, 29, 30, 31, 32, 33 – (zapłacę). Komu jest niepotrzebny choćby jeden nr „Świata Młodych" niech przyśle pod adresem: **K. Burakiewicz, ul. Biegańskiego 14/20, 80-801 Gdańsk.** • Odkupię książki: „Gwiezdne wojny", „Imperium kontratakuje", „Siostrzenica lunatyka", „Ci z dziesiątego tysiąca", „Mister Di", „Stawka większa niż życie" oraz komiksy: „Szalony eksperyment", „Bogowie z gwiazdozbioru Auguasiusa", „U progu tajemnicy", „Szranki i konkury" (1, 2 część). Odkupię także rozmaite powieści kryminalne, **Agnieszka Mucha, ul. Słowackiego 1/11, 37-400 Nisko woj. tarnobrzeskie.** • Poszukuję „Przeminęło z wiatrem" M. Mitchell oraz „Władcy pierścieni" R. Tolkiena. Kupno lub wymiana do listownego uzgodnienia. **Ewa Zbroszczyk, ul. Ogrodowa 12, 26-070 Łopuszno, woj. kieleckie.**

Dlaczego mnie nienawidzą?

Chciałabym napisać o swoim kłopocie. Otóż mam 15 lat, skończyłam klasę VIII, mam brata oraz trudnych rodziców. Dwa lata temu poznałam chłopaka (Radka), zaprzyjaźniliśmy się bardzo, spędzaliśmy dużo czasu razem. Gdy dowiedzieli się o tym rodzice, zabronili mi widywać go i spotykać się z nim. (Nigdy nie było między nami nic! prócz przyjaźni.) Moi rodzice stali się moimi wrogami. Zaczęli czytać moją korespondencję, interesowali się gdzie, kiedy i z kim chodzę, dokąd idę, po co, zabronili mi także spotykać się z moją przyjaciółką.

Radek pochodzi z dobrej rodziny, jest dobrze wychowany. Choć próbował mi jakoś pomóc, nie udało się. Oni już tacy są!

Ja mam wszystko, tzn. willę, samochód, i co zechcę, fajne ciuchy itp., ale nie mam najważniejszego – przyjaźni rodziców. Moi rodzice uważają, że chłopak to nieprzyjaciel. Nikt nie może do mnie przychodzić, nigdzie nie mogę chodzić, jestem ciągle smutna i zapłakana. Dlaczego mnie nienawidzą? Mój brat ma 12 lat i może wszystko, nie ma żadnych obowiązków w domu, mogą do niego przychodzić wszyscy i jest zawsze przez rodziców chwalony. Ja zawsze robię źle, muszę sprzątać, prasować, odkurzać, po prostu robić wszystko, a on nic! Gdy mama powie, że mamy posprzątać dom, (a mamy duży), on wykręca się i nie robi nic. Jeśli coś nie jest zrobione, to moja wina.

Gdy chodziłam do VII klasy, rodzice za każdą dwójkę bili mnie i to mocno. Nigdy im tego nie zapomnę. Kiedyś zbili mnie tak, że na drugi dzień nie poszłam do szkoły bo miałam siniaki, wszędzie – nawet na buzi. A nie uczę się tak źle (między czwórką a trójką).

Brat nigdy za nic nie dostał. Myślę, że ja nie jestem ich córką. Jak można sprawdzić czy byłam adoptowana? Nieraz rozmawiają o mnie, ale tak cicho, że nic nie mogę słyszeć. Sprawdzałam we wszystkich dokumentach – jest napisane, że jestem ich córką. To dlaczego mnie nienawidzą? Nie wiem!

Przekonałam się, że być bogatym to nie wszystko, lepiej być biednym i mieć fajnych rodziców. Proszę, RP, wydrukujcie mój list. Nie możecie do mnie napisać, bo oni przeczytają ten list.

Próbowałam z nimi porozmawiać. Nic to nie dało! Pomóżcie mi, proszę. Cały czas płaczę nad moim losem. Jesteście moją jedyną deską ratunku! Pomóżcie... Proszę o wypowiedzi kolegów i koleżanek.

Agnieszka

OD REDAKCJI: Twoi rodzice głównie są zainteresowani zdobywaniem coraz to nowych dóbr i ogromnie tym zmęczeni. Żyją w ciągłym napięciu zastanawiając się jak zdobyć i co zdobyć, by mieć więcej. Jeśli im się w tym względzie coś nie powiedzie irytują się i złość wyładowują na Tobie. Zdarza się i bicie, tego nic nie usprawiedliwia. Czy masz dziadków? Powinnaś im się zwierzyć i pożalić. Może coś wskórają. Rodzice bratu okazują więcej miłości, bo jest młodszy. Nie sądzimy, by Twoje przypuszczenia, że nie jesteś ich córką, były słuszne.

(bs)

MAMY PREZYDENTA

Generał Jaruzelski jest szóstym polskim prezydentem. Pierwszym był Gabriel Narutowicz, podstępnie zamordowany 16 grudnia 1922 roku, zaledwie w tydzień po zaprzysiężeniu na to stanowisko. Następnie przez cztery lata do zamachu majowego prezydentem Rzeczypospolitej Polskiej był Stanisław Wojciechowski. Po nim funkcję tę objął Ignacy Mościcki i sprawował ją aż do wybuchu II wojny światowej. Prezydentem czasu wojny, na emigracji, był Władysław Raczkiewcz. Natomiast jedynym do niedawna prezydentem w Polsce powojennej – Bolesław Bierut, piastujący ten urząd w latach 1947-1952. Mówi się często i pisze, że obecny prezydent jest drugim w historii PRL. Tymczasem jest to nieprawda. W Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej urząd ten powołany został do życia właśnie teraz, w 1989 roku, Bolesław Bierut był prezydentem Rzeczypospolitej Polskiej. Nazwę PRL dla naszego kraju ustanowiono dopiero w 1952 roku, znosząc jednocześnie urząd prezydenta, a powołując na to miejsce Radę Państwa, określaną jako zbiorowa głowa państwa.

Nie można powiedzieć, aby którykolwiek z dotychczasowych polskich prezydentów miał łatwe i spokojne urzędowanie. Ale tak trudne i skomplikowane zadania, jakie stanęły przed gen. Jaruzelskim, jeszcze się chyba dotąd nie zdarzyły. Główny problem to przeprowadzenie Polski i Polaków wąską ścieżką prowadzącą od systemu odmawiającego wolności pojedynczemu człowiekowi, systemu, który nie potrafił zapewnić godnych warunków życia większości ludzi, do systemu demokratycznego, umożliwiającego korzystanie każdemu z jego praw i dającego szansę na poprawę bytu materialnego. Ścieżka, którą jako naród już od jakiegoś czasu podążamy, jest nie tylko wąska, stroma, najeżona przeszkodami, ale w dodatku jej kraniec ginie we mgle. Tak więc na dobrą sprawę nikt nie wie na pewno, co nas czeka na końcu tej drogi, jakie przyjdzie nam przeżyć jeszcze zakręty historii i jak daleko znajduje się upragniony cel – wolny i bogaty kraj wolnych i zasobnych ludzi.

Prezydent Wojciech Jaruzelski ma być jednak nie tylko przewodnikiem po tej niebezpiecznej ścieżce, lecz również gwarantem, iż ta wycieczka w nieznane, którą jako naród podjęliśmy, nie zakończy się katastrofą.

W okrzepłych, ustabilizowanych demokracjach parlamentarnych świata prezydent powołuje rząd, czuwa nad zgodnością jego działań z konstytucją, często jest także szefem sił zbrojnych swego kraju. Od naszego prezydenta, poza spełnieniem tych wszystkich powinności, oczekuje się, iż sprawi, aby przemiany w naszym życiu politycznym i gospodarczym przebiegały w sposób możliwie spokojny. Słowem, nikt nie chce rewolucji, wszyscy (czy prawie wszyscy) chcą ewolucji. Rewolucje bowiem nigdy nie obywają się bez ofiar, dramatycznych wydarzeń, cierpień i zniszczeń. My tym razem chcemy zaprzeczyć znanemu przysłowiu i pokazać, że Polak potrafi być mądry przed, a nie tylko po szkodzie.

Największym niebezpieczeństwem jakie prawdopodobnie w przyszłości niejednokrotnie przyjdzie zażegnać obecnemu polskiemu prezydentowi, to wybuch konfliktów społecznych. Zadanie to niezwykle ciężkie. Olbrzymie rzesze ludzi są coraz bardziej wzburzone brakiem najbardziej podstawowych artykułów w sklepach i drożyzną, która rujnuje nasze życie. W takiej sytuacji nietrudno o eksplozję gniewu. Aby mu przeciwdziałać, trzeba bardzo szybko doprowadzić do zmian w naszej gospodarce, a warunki ku temu może zapewnić tylko odpowiednio sformowany rząd. Należy sądzić, iż podczas swojej kadencji Prezydent Jaruzelski będzie musiał co najmniej kilka razy formować rządowy gabinet. Od doboru odpowiednich ludzi zależy bowiem wiele i rolę prezydenta w tej dziedzinie trudno przecenić.

Następnym problemem do rozwiązania jest przekształcenie naszego życia politycznego. Musimy przejść od sytuacji, w której patent na nieomylność miała tylko jedna partia rządząca wszystkimi dziedzinami życia, do stanu, w którym wiele partii i sił społecznych będzie rywalizować o względy społeczeństwa. Mamy na to cztery lata. Tyle bowiem czasu dzieli nas od następnych wyborów do parlamentu, które zgodnie z umową zawartą przy „okrągłym stole" powinny być już w pełni wolne i demokratyczne. Przez ten okres trzeba tak pokierować coraz bujniej rozwijającym się życiem politycznym, aby rozwój ten nie przerodził się w anarchię, a demokracja w uliczne bijatyki czy wręcz w wojnę domową.

Niesłychanie ważnym elementem prezydenckiej działalności będzie także budowanie prestiżu naszego państwa w kontaktach międzynarodowych. W tej dziedzinie generał Jaruzelski z pewnością nie zawiedzie, mając już ugruntowany autorytet na całym niemal świecie.

Współpracę z prezydentem zadeklarowały już wszystkie siły skupione w Sejmie i Senacie. Łącznie z opozycją reprezentowaną w Obywatelskim Komitecie Parlamentarnym i przywódcą „Solidarności" Lechem Wałęsą. Pozwala to żywić nadzieję, iż życie publiczne w Polsce nie utonie we wzajemnych swarach i oskarżeniach. Jednak ostateczny werdykt wyda historia, która za ileś tam lat bezlitośnie osądzi nie tylko pierwszego Prezydenta PRL, ale także Sejm, Senat, partie polityczne i wszystkich nas, całe społeczeństwo: jak potrafiliśmy sobie ułożyć własne życie pod koniec XX wieku w środku Europy.

MICHAŁ MALICKI

ZAGRAJ MI, MUZYKO

Są tacy, którzy twierdzą, że bez muzyki życie byłoby nudne i bardzo szare... Jedni najlepiej odpoczywają przy cicho sączącym się z adapteru koncercie fortepianowym Chopina. Niektóre panie myją okna, sprzątają i gotują, panowie majsterkują czy naprawiają popsutą suszarkę o wiele chętniej, gdy przy pracy mogą posłuchać ulubionych nagrań... Jak bez muzyki wyobrazić sobie Sylwestra, karnawał, prywatkę lub imieniny? A jeśli wakacyjne wędrówki i obozy zostałyby pozbawione spotkań przy ognisku i śpiewu z gitarą...?

Myślę, że większość z was zgodzi się z opinią, że muzyka ogromnie ubarwia nam codzienność.

O powstaniu muzyki i jej początkach niewiele można powiedzieć konkretnego. Wszelkie rozważania na ten temat to tylko przypuszczenia... Badając kulturę żyjących dziś ludów pierwotnych można sądzić, że muzyka początkowo opierała się na jednym elemencie – na rytmie. Dziś jeszcze w zespołach muzycznych ludów pierwotnych np. Afryki Środkowej lub Archipelagu Malajskiego przeważają rozmaite instrumenty perkusyjne... Nie brak jednak uczonych, którzy twierdzą, że początkowo istniała melodia, a dopiero później rozwinęły się inne elementy muzyki.

Znawcy do dziś nie rozstrzygnęli tego sporu. Jedno jest jednak pewne: muzyka powstała bardzo dawno i była ściśle związana z życiem ludzi. Towarzyszyła im w pracy, zabawach, walkach, modlitwach, rozmaitych ważnych wydarzeniach...

W równie odległych czasach powstały zapewne pierwsze instrumenty muzyczne. Początkowo ich konstrukcja była bardzo prosta. Sądzi się, że przodkiem instrumentów dętych była wydrążona trzcina, kość lub róg zwierzęcy. Najwcześniejsza forma instrumentu strunowego to... łuk muzyczny – zwykły łuk trzymany przez grającego jednym końcem w zębach (jama ustna stanowiła rezonator), a struna-cięciwa szarpana była palcami. Wydrążone pnie drzew, grzechotki z tykwy i kamyków bądź nasion roślin – to proste instrumenty perkusyjne.

W ciągu wielu wieków w różnych częściach świata powstawały instrumenty najróżniejsze, coraz wymyślniejsze, o skomplikowanej konstrukcji. I choć dla laika wydają się być tak bardzo różnorodne, to jednak okazuje się, że wszystkie te najdziwniejsze instrumenty można podzielić – w zależności od źródła dźwięku – na cztery grupy...

• **CHORDOFONY** – (instrumenty strunowe) w których źródłem dźwięku są drgania napiętej struny. Wysokość dźwięku zależy od długości i grubości struny, przy czym długość można zmieniać naciskając na nią palcami (np. skrzypce). Chordofony bywają: **smyczkowe** – np. skrzypce, altówka, wiolonczela, kontrabas, **szarpane** – tu struny pobudzane są do drgania palcami lub za pomocą elastycznej płytki (plektronu), piórka itp. Chordofony szarpane to np. lutnia, harfa, mandolina, gitara, cytra, klawesyn. Są jeszcze chordofony **uderzane** – struny pobudza się do drgania za pomocą młoteczków lub pałeczek (fortepian, cymbały)

• **AEROFONY** – (instrumenty dęte) w których źródłem dźwięku jest słup powietrza w rurze instrumentu. Długość słupa powietrza, od którego zależy wysokość dźwięku, można zmieniać dzięki otworom w rurze instrumentu (instrumenty drewniane), albo przez przedłużanie rury za pomocą wentyli lub suwaka (instrumenty blaszane). Aerofony dzielą się na: **drewniane** – np. flet, obój, klarnet, fagot; **blaszane** – np. róg, trąbka, kornet, puzon; **organy**.

• **MEMBRANOFONY** – w których dźwięk powstaje przez drganie błony (membrany) napiętej na obrzeżu (kotły, bęben wielki, bęben mały, bębenek baskijski)

• **IDIOFONY** – w których źródłem dźwięku są ciała o naturalnej sprężystości (płyta, sztabka, rura, pręt itp.) nie wymagające napinania jak struna czy membrana. Idiofony **uderzane** to np. gong, trójkąt, talerze, kastaniety, ksylofon, dzwony, wibrafon. **Dęte** – to np. fisharmonia, akordeon, harmonijka ustna, a idiofon **pocierany** to piła muzyczna...

Do czterech grup dołączono jeszcze jedną:

• **ELEKTROFONY** – w których dźwięk powstaje przy udziale obwodów elektrycznych i jest emitowany przez głośnik – np. gitara elektryczna, organy Hammonda...

Poza tą klasyfikacją naukową stosuje się także, znany wam zapewne, podział praktyczny na instrumenty: strunowe, dęte i perkusyjne.

Tayuc – Indyjski instrument strunowy czyli chordofon

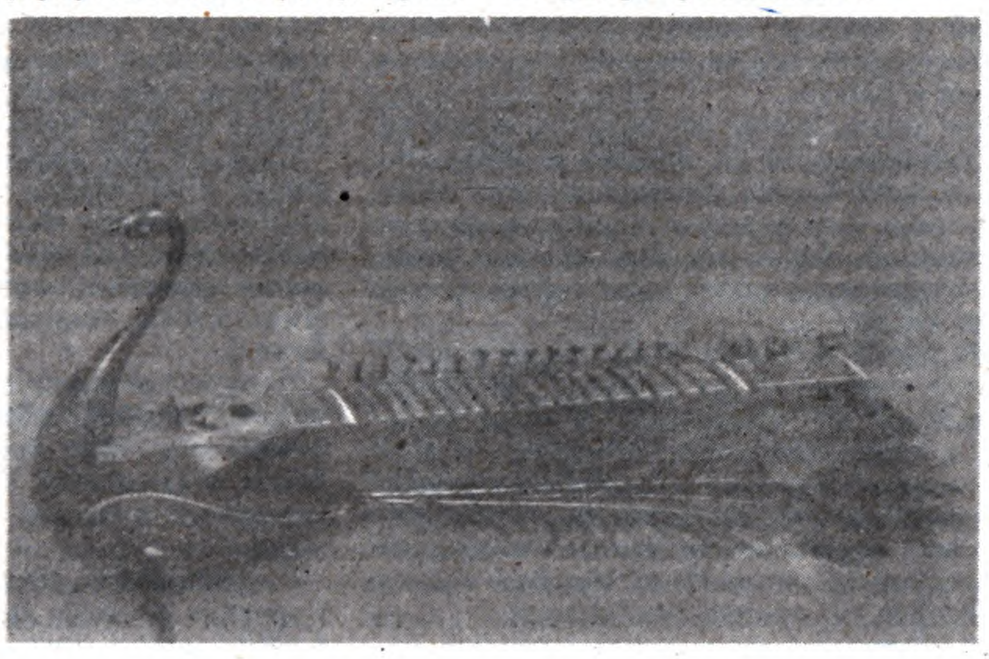

Na łowy i do tańca...

Instrumenty muzyczne służyły ludziom początkowo jako narzędzia dźwiękowe przydatne w pracy. Wabiki myśliwskie, kołatki do odstraszania dzikich zwierząt, rogi sygnalizacyjne ułatwiały codzienne życie. Dzięki instrumentom ludzie mogli porozumiewać się na duże odległości. Takim rodzajem prymitywnego telegrafu był afrykański tam-tam. Któż o nim nie słyszał?

Tu mała uwaga... Mówiąc o tam-tamie myśli się zazwyczaj o każdym afrykańskim instrumencie będącym rodzajem bębna – czyli membranofonu. Rzeczywiście, bębny zrobione z drewna, obciągnięte skórą np. małpy lub antylopy są instrumentami dominującymi na Czarnym Lądzie... Ale **tam-tam** nie jest bębnem lecz – **idiofonem**. To instrument sygnalizacyjny wykonany z wyżłobionego wewnątrz kloca drewna, z wyciętą szczeliną głosową biegnącą przez całą długość tam-tamu. Gra się na nim przez uderzenie drewnianymi pałkami w krawędzie szczeliny, które mają różną grubość. Grubsza wydaje dźwięk niższy, cieńsza – wyższy. Kombinacje tych dwóch dźwięków pozwalały przekazywać zakodowane informacje np. z jednej wioski do drugiej.

Instrumenty pełniły ogromnie ważną rolę w obrzędach religijnych i magicznych. Wśród zbiorów poznańskiego Muzeum Instrumentów Muzycznych można obejrzeć np. *pansi* – kocioł z Syjamu. Grając na nim wywoływano deszcz. Doskonała i ogromnie pieczołowicie strzeżona te-

DOKOŃCZENIE NA STR. 4-5

„Pamiętam sztorm na Atlantyku, po wyjściu z Jacksonville. Poszły nam wtedy wszystkie żagle rejowe i sztaksle. Został tylko grot i bezan. Noc, deszcz jak z cebra, wiatr – huk! Nic dziwnego, że zdejmowanie i wkładanie żagli w takich warunkach nazwaliśmy »zmorą Atlantyku«!"

Druga część wspomnień Witka Czajewskiego, uczestnika rejsu „Pogorii".

TO JEST TEN SMAK!

Fot. **Witold Czajewski**

Tower Bridge otworzył się, przepuszczając „Pogorię"

13 lutego 1989 roku „Pogoria" wpłynęła do pierwszej śluzy, po kilku godzinach minęła pięć następnych. Zbliżała się do Kanału Panamskiego. Pogoda była wspaniała. Pierwszy port: Hawana.

– *Wrażenia z Kuby mam nie najlepsze* – opowiada Witek. – *Już nabrzeże, przy którym stanęliśmy, wyglądało przygnębiająco: odrapane mury, sypiący się tynk, w ścianach budynków dziury jak po pociskach. I choć odbyliśmy kilka wycieczek i przyjmowano nas gościnnie, nikt nie ronił łez, gdy odchodziliśmy...*

W drodze do Miami zatrzymaliśmy się na Wyspach Bahama, żeby oczyścić dno statku z wodorostów. Woda była ciepła, czysta, spokojna – pływało się przyjemnie.

Chłopcy, w płetwach i maskach, kąpali się, a właściwie starannie czyścili dno „Pogorii". Schodzili kilka metrów w głąb, na ile pozwalał im sprzęt i umiejętności. Dno morskie widać było jak na dłoni; piękne muszle leżały w piaseczku, ogromne, kilkumetrowej długości ryby pływały kilka metrów pod intruzami. Przepiękny, barwny, tajemniczy podwodny świat.

Ekipa filmowa „Pogorii" popłynęła pontonem trochę dalej, na rafę koralową...

W pewnej chwili filmowiec wynurzył się dość gwałtownie z wody – otarł się o rekina. Kilkumetrowy rekin-młot! Zwabiły go prawdopodobnie przywiązane do sznurka kotwicznego ryby, które pan Makacewicz wcześniej ustrzelił z lupary (przyrząd do strzelania pod wodą; grot, nakręcony na końcu strzały, trafiający w cel rozrywa go – to broń na rekiny).

– *Rzuciliśmy się na reje, na maszty* – mówi Witek – *może gdzieś krąży?! Nic już nie zobaczyliśmy, woda była spokojna, ale wszyscy musieli z niej wyjść. Szkoda, że ten piękny dzień trwał tak krótko...*

Potem był też krótki pobyt w Miami i refleksja nad rzucającymi się w oczy różnicami między państwami Ameryki Południowej, Środkowej, naszą Polską a Stanami Zjednoczonymi. I wreszcie Jacksonville, gdzie załoga „Pogorii" miała czekać na audiencję u prezydenta USA.

– *Jacksonville* – pisał Witek w liście do domu. – *Czy jest drugie takie równie wspaniałe miejsce na świecie? Ile wycieczek! I to jakich! Najpierw pojechaliśmy na dwa dni do Cookville, rodzinnego miasta naszych amerykańskich Kaczorów, później do Nashville, stolicy stanu Tennessee na spotkanie z gubernatorem. Potem czekały nas superciekawe wycieczki: obserwowanie lekcji historii w amerykańskiej szkole, Sea World, Disney World, Centrum Lotów Kosmicznych NASA na Cape Canaveral. Tu mieliśmy pecha: start promu kosmicznego Discovery odbył się dwa dni przed naszą wizytą!*

Odchodzili od amerykańskiego brzegu z prawdziwym żalem. Wszystkim bardzo się tu podobało.

– *Nawet Kola* – wspomina Witek – *który dotąd uważał, że Nowgorod, jego rodzinne miasto, jest najwspanialszy na świecie – wyraźnie w to zwątpił.*

Przez Atlantyk płynęli 28 dni. Szkoła, praca: skrobanie, malowanie, czyszczenie, szycie żagli, alarmy. Początkowo ocean był spokojny, później przyszedł potężny, wszystkim dający się we znaki sztorm. Gdy minął, gdy wpłynęli do kanału La Manche, z ulgą odetchnęli. Po prawie miesięcznej żegludze przez północny Atlantyk wchodzili do Londynu. Potem był Hamburg, Sztokholm, Leningrad.

– *Wreszcie Bałtyk, dziwnie spokojny, prawie bez fali, wiatr słabiutki, czasem flauta. Ale właściwie nie ma się czemu dziwić – przecież to nasze, polskie morze; powinno być przyjazne! Po drodze obserwowaliśmy ciekawe zjawisko mirażu: na pełnym morzu widać było miasto, wysokie domy... Chwilami pojawiał się okręt podwodny, czasem coś, czego nawet nie umiem opisać. Pierwszy raz widziałem na „własne oczy" fatamorganę.*

– *W tej końcówce miałem pecha* – opowiada Witek. – *Chłopcy zwiedzali Londyn: Pałac Buckingham, Muzeum Techniki, sławne Muzeum Figur Woskowych – ja miałem wachtę! Cały dzień czyściłem, malowałem, szorowałem. W Sztokholmie zapowiadało się jeszcze gorzej: przypadała na mnie wachta i służba w kuchni. Na 3 dni pobytu! Na szczęście nie było aż tak źle i Sztokholm solidnie obejrzałem.*

Płynęli do Leningradu w niemal podniosłej atmosferze. Rosjanie wracali przecież do domu, Polacy byli już blisko swojego, a Amerykanie ciekawi byli bardzo, jak wygląda to drugie mocarstwo świata...

No i wreszcie ten DOM prawdziwy – Polska. 19 maja „Pogoria" dopłynęła do Gdyni.

– *Wyobraża sobie pani jakie tam były łzy? Po tylu miesiącach!* – wspomina mama Witka. – *Na nabrzeżu oczekiwały rodziny, wszyscy wzruszeni, uzbrojeni w lornetki. Każdy „widzi" już tego swojego wytęsknionego synka, choć na taką odległość odróżnić ich nie sposób... Tuż przed godziną 12.00 weszli do Basenu Prezydenta w pełnej paradzie rejowej. Wspaniali!*

DOKOŃCZENIE NA STR. 7

Na łowy i do tańca...

DOKOŃCZENIE ZE STR. 3

chnologia wyrobu tego rodzaju instrumentów do tej pory nie została zgłębiona przez Europejczyków... W innej sali wystawowej muzeum zobaczyć można *damaru* – obrzędowy bębenek tybetański składający się z (brr...) dwóch połówek czaszki ludzkiej, złączonych szczytami i obciągniętych skórą zwierzęcą. W przewężeniu bębenek ma umocowane na sznurkach dwie kuleczki, które przy potrząsaniu uderzają w obie membrany. W Indiach damaru jest instrumentem obrzędowym poświęconym Sziwie.

Z czasem instrumenty zaczęły towarzyszyć tańcowi – nie tylko obrzędowemu, ale także temu na zabawach, podczas świąt. W Wielkopolsce np. grywano kiedyś na mazankach – trzystrunowym instrumencie przypominającym skrzypce. Zazwyczaj występowały one w połączeniu z dudami. Podobno niegdyś melodie wygrywane na mazankach miały podczas wesela dopingować pana młodego i gości do stawiania sobie nawzajem jadła i napitku...

Dziś mazanki w kapelach ludowych zastąpione zostały skrzypcami.

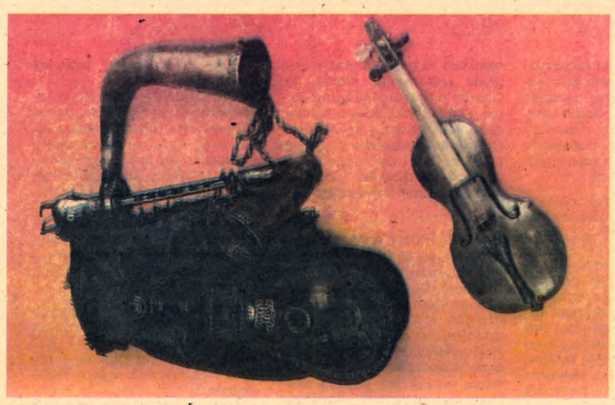

Dudy wielkopolskie i mazanki

WZIĄĆ DUDY W MIECH...

Dudy przybyły do Europy ze Wschodu już we wczesnym średniowieczu. Wkrótce stały się jednym z najpopularniejszych instrumentów dętych. Początkowo uważane były za instrument niższego gatunku. Dopiero w XVIII wieku pojawiły się w kręgach dworskich, a nawet w operze...

Ten ludowy instrument muzyczny składa się ze skórzanego worka, mieszka służącego do napełniania worka powietrzem oraz kilku piszczałek: melodycznych i burdonowych -tzn. wydających jeden lub dwa dźwięki, które utrzymywane są zazwyczaj w czasie trwania całej melodii.

By zagrać na dudach trzeba najpierw wprowadzić powietrze do worka – pompując mieszkiem lub wdmuchując je przez drewnianą rurkę. Naciskając ramieniem na skórzany zbiornik grający wytwarza się ciśnienie potrzebne do wydobycia dźwięku z piszczałek. Do tego konieczna jest jeszcze umiejętność „przebierania palcami" po otworach owych piszczałek – i... można koncertować!

Po skończonej grze dudziarz zazwyczaj owijał piszczałki w opróżniony z powietrza worek. Stąd zapewne powiedzenie: *„Wziąć dudy w miech"*. Zwrot ten oznacza tyle co: dać za wygraną, zakończyć coś, zrezygnować, wycofać się. Jest jeszcze inne przysłowie: *„Niedźwiedź zdechł, dudy w miech"*. Pochodzi ono z czasów, kiedy niedźwiednicy przygrywali na dudach do tańca tresowanym misiom...

Choć od XIX wieku dudy zaczęły powoli znikać, a ich miejsce w kapelach zajmowały inne instrumenty: klarnet i obój, to jednak w Polsce są jeszcze takie regiony, gdzie do dziś można posłuchać występów dudziarzy (np. Wielkopolska, Podhale, okolice Istebnej czy Żywca).

Dudy w niektórych okolicach nazywane są kozą lub kozłem. Być może stąd wziął się powszechny błąd określania dud mianem kobzy. A tymczasem kobza to zupełnie inny instrument, z dudami nie mający nic wspólnego!

Bowiem **kobza** to rodzaj lutni o mocno wypukłym korpusie rezonansowym i bardzo krótkiej szyjce. Instrument ten miewał od dwóch do dwunastu strun i był używany przez muzykantów rumuńskich. Obecnie kobzy spotyka się jeszcze niekiedy na Bukowinie, w Mołdawii, Dobrudży, na Wołoszczyźnie.

Warto o tej różnicy pamiętać i już zupełnie fachowo oraz prawidłowo używać nazw obu instrumentów.

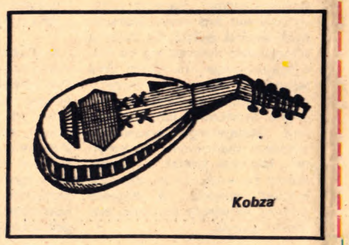

Kobza

COŚ DLA „DŹWIĘKOLUBÓW..."

Dowiedzieliście się co nieco o instrumentach, jesteście więc już przygotowani teoretycznie... Pora teraz na sprawdzian praktyczny.

Czy potrafisz zrobić prosty instrument muzyczny? Jeśli brak ci pomysłu, skorzystaj z podpowiedzi fachowców – pracowników poznańskiego muzeum: Tatiany Lityńskiej i Janusza Jaskulskiego...

● **RICO–RICO** rodem z Brazylii. Nazwa polska tego instrumentu brzmi: tarło. Oddaje ona chyba najlepiej ideę gry na owym instrumencie. Wykonuje się go z kawałka drewna (może to być np. kawałek grubej suchej gałęzi). Żłobi się w nim, w równych odstępach, dość głębokie rowki. Ich krawędzie dobrze jest wygładzić papierem ściernym. Do kompletu potrzebny jest okrągły patyk, którym pociąga się po wyżłobieniach. I to wszystko. Rico-rico jest naprawdę bardzo sympatycznym instrumentem perkusyjnym.

● **GRZECHOTKA** na wzór afrykański. W Afryce wykonuje się ją z tykwy, ale my możemy posłużyć się np. wydrążoną małą dynią. Do spodu dyni mocujemy rączkę. Na grzechotkę nakładamy uplecioną siatkę ze sznurka, w której umocowane są np. koraliki. Siateczkę można „wykończyć" frędzlami, a na nie nanizać kolejne koraliki. W tym instrumencie grzechoczą koraliki umieszczone na zewnątrz, a nie jak w innych – wsypane do środka.

Życzymy powodzenia!

MEDYCYNA XXI WIEKU

Rewolucja w ortopedii?

(PAP). Wydaje się to wręcz niewiarygodne. – *Ale to prawda* – stwierdza zachodnioniemiecki uczony prof. Karlheinz Schmidt z Uniwersytetu Tabingen. – *Oto substancja, która jest krokiem w XXI wiek. Pracowałem nad tym 12 lat* – dodaje. – *Stosując różne procesy biochemiczne udało się w końcu wyizolować z kości substancję, która stymuluje ich wzrost! W niedalekiej przyszłości będzie można zrezygnować z protez, a także zaniechać operacji, które okaleczają człowieka.*

Osteopoetina, jak nazwano nowy środek, jest substancją białkową, swego rodzaju „czarodziejską różdżką". Potrafi ona pobudzić komórki znajdujące się w szpiku kostnym, by przekształciły się w materiał budulcowy kości. O czymś takim lekarze marzyli już od dawna. Od wielu lat w laboratoriach na całym świecie poszukuje się substancji, która uruchomiłaby rozwój komórek tworzących konkretne tkanki. W ten sposób można by „wyprodukować" komplet zapasowych części organizmu.

Wszystko wskazuje na to, że pierwszy krok w tym kierunku zrobił prof. Schmidt. – *Nową substancję* – stwierdza – *wypróbowaliśmy już u 12 pacjentów. Mieli oni uszkodzony fragment czaszki w okolicy narządu słuchowego. U pacjentów, u których zastosowano osteopoetinę szybko zaczął rozwijać się proces gojenia. W ciągu kilku tygodni nastąpił odrost kości dzięki naturalnym procesom.*

Nowa substancja może w najbliższych latach całkowicie zrewolucjonizować ortopedię. Otwiera się bowiem możliwość leczenia uszkodzeń kostnych kończyn, które obecnie trzeba amputować powodując trwałe kalectwo. Niewykluczone, że w podobny sposób będzie można leczyć ubytki zębów. A w przyszłości tak samo będzie można implantować własną tkankę w dowolnym miejscu organizmu. Osteopoetina w RFN będzie dostępna nie wcześniej jak za 5 lat. – *Jesteśmy jednak na dobrej drodze* – stwierdza prof. Schmidt.

KYLIE MINOGUE - z Australii

Kylie należy do tych szczęśliwych dziewcząt, które dorastały w zamożnej, kochającej się rodzinie – właściwie bez trosk. Doskonale sytuowany ojciec – Ron jest radcą prawnym. Mama – Carole, byłaby tancerką, ale u progu kariery wyszła za mąż i od tej chwili poświęciła się domowemu ognisku. Kylie ma także dwójkę młodszego rodzeństwa - 19-letnią siostrę Daniele i 17-letniego brata Brendana. Pełnoprawnym członkiem rodziny jest też duży czarny pies Gabby, zwany pieszczotliwie „Bitsa" – co ma oznaczać „wszystkiego po troszkę".

Rodzice dostrzegli talenty swoich dzieci bardzo wcześnie i otaczali je troskliwą opieką. Od 5 roku życia mała Kylie uczyła się tańczyć i uprawiać sporty. Nie tylko popularne w Australii wszelkiego rodzaju sporty wodne, ale także narciarstwo i konną jazdę. Właśnie na piąte urodziny otrzymała na własność kucyka – pony o od tej chwili nie wyobraża już sobie życia bez koni.

Bardzo wcześnie stanęła przed filmowymi kamerami. Pierwszy telewizyjny serial z 11-letnią Kylie nosił tytuł „Skyways". Po nim zaangażowano ją do serialu produkcji holenderskiej „The Sullivans". W 1984 r. zagrała zaś w pokazywanym również przez naszą telewizję serialu „Zatoka Hendersonów". Tej wiosny zachodnioniemiecka TV wyświetliła 6-częściowy film z jej udziałem pt. „Piano-Piano". Największą zaś popularność i sympatię przyniósł młodej gwiazdce udział w tasiemcu telewizyjnym – Neighbours (Sąsiedzi). Pracę nad nim rozpoczęto w 1985 r. i trwa ona do dziś, jako że widzów – sympatyków wciąż przybywa.

Jednak Kylie w 1988 r. zrezygnowała z udziału w tym przynoszącym jej popularność i pieniądze przedsięwzięciu dla tańca i piosenki na estradzie. Nie znaczy to, że zamierza wyrzec się pracy przed filmową kamerą. Po prostu w tej chwili muzyka bardziej ją pociąga. Zadebiutowała nagraniem „Loco Motion", popularnym przed laty w wykonaniu czarnoskórej Little Eve. Sukces przeboju z 1962 r. powtórzył się i dziś. Zachęceni tym trzej kompozytorzy muzyki dyskotekowej – Stock, Aitken i Waterman postarali się o kolejne przeboje dla młodziutkiej Australijki. Trafili w „dziesiątkę" – „I should be so lucky" i „I got be certain" w jej wykonaniu podbiły dyskoteki – szczególnie europejskie.

W 1987 r. Kylie wydała album „Kylie", potem singla „Loco-Motion". Video-clip kolejnego singla o francuskim tytule „Je ne sais pas pourquoi" (Nie wiem dlaczego) potwierdził słuszność jej decyzji, by przede wszystkim śpiewać.

Kylie, która wiele podróżowała po świecie, uwielbia jednak przede wszystkim Australię. – *Tu żyje się w sposób bardziej otwarty i mniej skomplikowany niż w Europie. Może to sprawy pogody... Wiele czasu spędzamy poza domem, blisko natury.*

Ale wolnego czasu młoda artystka nie ma zbyt wiele. – *Nie tylko pracowałam w filmach, ale też przecież musiałam się normalnie uczyć. Uwierzcie, to nie takie proste, by w przerwach między zajęciami zmusić się do wkuwania. Musiałam jednak zdać egzamin* – uskarża się Kylie w wywiadach.

Jest wciąż zajęta. Zrezygnowała z pracy w serialu „Neighbours", ale w tej chwili znów kręci film finansowany przez Davida Bowie. Będzie nosił tytuł „The Delinquents". To film kinowy, wg powieści australijskiej pisarki Creiny Rohen. Gra w nim główną rolę. Kręci więc przez 5 dni w tygodniu po 12 godzin. Wieziona z planu zdjęciowego do domu natychmiast zasypia. Na swoje dawne hobby, projektowanie strojów (w szkole jej ulubionym przedmiotem była sztuka) – już nie ma czasu.

Na pytanie – czego nie znosi, odpowiada: – *ślimaków i nieuprzejmych ludzi.* – Co lubi? – *Jedzenie w domu, plażę i zwierzęta.* Czego pragnie najbardziej? – *Zrobić karierę w Ameryce.*

Kylie nie tak dawno odwiedziła Amerykę, ale tam ani serial „Sąsiedzi", ani jej piosenki nie podobają się tak bardzo jak w Australii i Europie. Ameryka zna raczej inną Minogue – jej siostrę Daniele, która z powodzeniem gra w serialu „All the Way". Swe nadzieje Kylie pokłada więc w przyszłym sukcesie filmu Davida Bowie, tym bardziej, że jej australijski partner Paul Hogan (z „Krokodyla Dundee") ma w Stanach wysoką markę.

Wygląda więc na to, że perspektywy drobnej i małej (1,52 m wzrostu) Kylie są wielkie i różowe.

EWA BIELSKA

ÓSMOKLASISTO!
UWAGA SZANSA! POWINIENEŚ TO PRZECZYTAĆ!

Jeśli chcesz wyrwać się ze swego nieciekawego środowiska, szybko się usamodzielnić, sam decydować o swojej przyszłości - wybierz naukę w Zasadniczej Szkole Przyzakładowej Kombinatu Budowlanego w Chorzowie. Nie znajdziesz lepszej propozycji!!!

Zasadnicza Szkoła Przyzakładowa
Kombinatu Budowlanego w Chorzowie
działająca przy
Zespole Szkół Budowlanych
im. Krzysztofa Kamila Baczyńskiego
Chorzów, ul. Narutowicza 5, tel. 413-475

jeszcze przyjmuje zapisy uczniów do klas I na rok szkolny 1989/1990. Szkoła kształci w zawodach:
- murarz,
- cieśla,
- malarz,
- monter instalacji budowlanych,
- monter konstrukcji żelbetowych,
- elektromonter,
- posadzkarz,
- stolarz.

Zapewniamy:
- stypendia na czas nauki:
  klasa I - 5500 zł
  klasa II - 5950 zł
  klasa III - 6750 zł
- dodatkowe stypendia fundowane - 4500 zł
- do 20 proc. premii miesięcznie,
- posiłki regeneracyjne,
- odzież roboczą, narzędzia, bezpłatne podręczniki szkolne,
- uczniom zamiejscowym - zakwaterowanie w internacie szkolnym z pełnym wyżywieniem,
- możliwość korzystania z zakładowych wczasów i obozów wypoczynkowych.

Absolwenci szkoły już po 3 latach pracy zarabiają pracując w naszym przedsiębiorstwie do 70 tysięcy złotych.

Chętni mogą kształcić się nadal w Technikum Budowlanym, a najzdolniejsi po ukończeniu szkoły średniej na studiach wyższych, z poparciem przedsiębiorstwa.

NIE ZASTANAWIAJ SIĘ! DECYDUJE KOLEJNOŚĆ ZGŁOSZEŃ!

Zainteresowanych przyjmuje oraz bliższych informacji udziela Dział Kadr, Zatrudnienia i Szkolenia Kombinatu Budowlanego w Chorzowie, ul. Armii Czerwonej 5 (pok. 19, 20, 21) tel. 414-281, wewn. 173, 135, 136, 138.

UWAGA! UWAGA! UWAGA!

Jednocześnie informujemy, że na osoby, które ukończyły 16 rok życia czeka -

Zasadnicza Przyzakładowa Szkoła
Budowlana
dla Pracujących
w Rudzie Śląskiej, ul. Wolności 90

Zostań Junakiem OHP Hufca Kombinatu Budowlanego w Chorzowie, a zdobędziesz wykształcenie i zawód!

W czasie 2-letniej nauki (w trybie popołudniowym, po pracy) gwarantujemy płace:
- I rok - 100 zł za godzinę (plus 30 proc. premii)
- II rok - 120 zł za godzinę (plus 30 proc. premii) .

Zapewniamy zakwaterowanie w internacie i całodzienne wyżywienie za symboliczą odpłatnością.

UWAGA: Istnieje możliwość ukończenia szkoły podstawowej i przyuczenie do zawodu w ciągu 2 lat nauki połączonej z pracą.

Pakuj walizkę, bo ubiegną cię inni!

Przypominamy, że zainteresowani nauką w naszych szkołach powinni złożyć następujące dokumenty: podanie, życiorys, odpis metryki urodzenia, 3 zdjęcia, świadectwo ukończenia szkoły podstawowej, pisemną zgodę rodziców lub opiekunów, wyciąg ze świadectwa zdrowia (oraz orzeczenie poradni wychowawczo-zawodowej z miejsca zamieszkania w przypadku junaków OHP i uczniów Studium Przysposabiającego do Zawodu).

PAMIĘTAJ! CZEKAMY NA CIEBIE!!!

OK/206

Najważniejsza scena ołtarza mariackiego przedstawiająca uśnięcie Matki Boskiej

500 LAT

Z całej Polski ciągną do Krakowa szkolne wycieczki. I ja po raz pierwszy byłam w tym mieście jako uczennica. Oprócz zachwytów nad urodą zabytkowego miasta, pełnego śladów polskich królów, przeżyłam i wielki zawód. W kościele Mariackim nie było słynnego ołtarza Wita Stwosza! Tyle o nim czytałam, wzruszał mnie znany z albumu, malowany przez Jana Matejkę obraz przedstawiający Stwosza jako niewidomego starca... Znałam historię żółtej ciżemki, znalezionej za ołtarzem, opowiedzianą przez Antoninę Domańską w jej książce*, a tu nie ma ołtarza! Było to niedługo po wojnie, latem 1946 roku. Radio należało do niezwykłej rzadkości, gazet nie czytałam. Dopiero oprowadzający naszą wycieczkę przewodnik wyjaśnił nam - uczennicom niewielkiego podlaskiego miasteczka - że ołtarz jest na Wawelu i właśnie trwają wstępne zabiegi konserwacyjne...

Zrabowany przez Niemców, jak wiele innych naszych dzieł, powrócił wówczas przed paroma tygodniami do Krakowa. Skrzynie z rozebranym na części dziełem Wita Stwosza ostatnie miesiące wojny przeleżały w schronie zbudowanym pod zamkiem w Norymberdze. Nie było to stosowne miejsce dla rzeźb w lipowym drewnie! Zabytkowy ołtarz zaatakowały pasożyty, poczynił wielkie straty kołatek, łuszczyła się farba. W pracowni konserwacyjnej na Wawelu, dokąd prosto z pociągu skierowano odzyskany ołtarz mariacki, pracował nad nim kilkunastoosobowy zespół kierowany przez prof. Mariana Słoneckiego. Podczas szczegółowych oględzin stwierdzono - tego nie oczekiwano zupełnie - że w różnych częściach ołtarza tkwi niemało gwoździ. Wydobyto ich około pół kilograma! Prawdopodobnie służyły do zawieszania podczas różnych kościelnych uroczystości jakichś dywaników. Dość bezceremonialnie traktowano to piętnastowieczne dzieło zamówione przez Radę Miejską dla kościoła pod wezwaniem Najświętszej Marii Panny w Krakowie. Wiosną 1950 roku zakończono konserwację, ołtarz zalśnił pięknymi, żywymi barwami oraz złotem, tak jak za czasów Wita Stwosza. Koszty były ogromne, wydano 12 000 000 zł. Przez siedem lat ołtarz znajdował się na Wawelu, dopiero w 1957 roku został przekazany przez państwo kościołowi Mariackiemu i wrócił na swoje właściwe miejsce.

Głowa Matki Boskiej

Ponownie trzeba go było poddać zabiegom konserwacyjnym trzy lata temu. Stan wszystkich zabytków w Krakowie jest bardzo niepokojący ze względu na tak zwane warunki naturalne, ale to już oddzielna sprawa.

- Jedynie w momentach wyjątkowych, podczas renowacji - mówi dr Julian Fąfara z Krakowa - ***można obejrzeć z bliska dzieło genialnych rąk Wita Stwosza. Jednym pociągnięciem dłuta nadawał on pełne ekspresji rysy twarzom apostołów. Nie widać najmniejszych poprawek! Co za pewność i energia, a równocześnie jaka niezykła precyzja i drobiazgowość zauważalna w figurach małych aniołków! Mają na sobie setki piórek, których absolutnie nie można się nawet domyślać, gdy się podziwia dzieło Stwosza stojąc przed ołtarzem*** w kościele. A jaka delikatność i subtelność dłuta, które potrafiło nadać rękom omdlewającej Matki Boskiej tyle bezbronności... A zarówno sylwetka Marii jak i podtrzymującego ją św. Jakuba została wyrzeźbiona w jednym pniu lipy. Ołtarz jest arcydziełem nie mającym sobie równego w Europie...

Wit Stwosz przybył do Krakowa z Norymbergi mając około trzydziestu lub nawet mniej lat. Musiał być znany jako artysta, skoro go tu zaproszono, by w istniejącym już od stu lat kościele wykonał zamówienie Rady Miejskiej. Za datę jego przybycia przyjmuje się rok 1477, gdyż wówczas zrzekł się obywatelstwa Norymbergi i rozpoczął swoją pracę. Prawdopodobnie nad Wisłą znalazł się jednak wcześniej. Musiał przecież dobrać sobie pomocników, zapewnić pracownię, odpowiednie do rzeźbienia kłody lipowe, które co najmniej dwa lata powinny schnąć, a wreszcie: uzgodnić i omówić tak zwane warunki pracy.

O pochodzeniu Stwosza i jego dzieciństwie bardzo niewiele wia-

81

Wiesław Wernic

ZŁE MIASTO

Posiedzieli przy stole ponad dwie godziny, co wydało mi się czasem okropnie długim. Prawie nie rozmawiali, jedynie Hudson zapytał o drogę do Colding.

Nieco ją skróciłem, obawiając się, że zechcą u mnie nocować. Wreszcie wstali od stołu. Hudson podziękował za „wspaniałe", jak twierdził, przyjęcie. Rzecz jasna, że nie zapraszałem ich na dłuższy pobyt i odetchnąłem z ulgą, gdy wyszli na dwór, osiodłali konie i odjechali. Wówczas nie wiedziałem, w jakim celu. Nieco później, gdy odwiedził mnie Lee, usłyszałem o nocnym napadzie i postrzeleniu szeryfa. Doszedłem szybko do wniosku, że w bandzie nastąpił rozłam na dwie wrogie sobie grupy. Teraz dowiedziałem się, że Hudson i jego ludzie zostali schwytani przez szeryfa okręgowego i że - tu zniżył głos - lada dzień czeka to Crenianа-Daltona i dwu jego przyjaciół. Kto wie? Może teraz wrócę do Teksasu? To wesoły kraj w przeciwieństwie do tej ponurej Nevady. I co sądzicie o tej historii? - spojrzał na nas pytająco.

Niełatwo było odpowiedzieć. Bates wyszedł cało z ostatniej przygody i na pewno nic mu już więcej nie groziło, lecz przecież podczas napadu w Teksasie stracił syna.

-Tym razem szczęście uśmiechnęło się do pana - stwierdziłem. - Sądzę, że Hudson, jak już teraz wiemy, przybył tu aby zemścić się na Crenianie. Gdyby jednak spostrzegł, że pan go rozpoznał, postarałby się o usunięcie niewygodnego świadka.

- I ja tak myślę, doktorze. Och, gdybym dawniej miał takie szczęście...

Odgadłem, co miał na myśli, więc natychmiast zmieniłem temat rozmowy. Zagadnąłem, czy zna Jonasa Nevila. Przeciez Nevil, udając się z Center Point nad rzekę Humboldta, do Elko, pewno też się zatrzymywał w domu Batesa, choćby na kilka godzin.

- Nevil - powtórzył Bates. - Ależ tak, oczywiście. Gościł u mnie dwukrotnie. Zajmuje się eksplorerstwem. Sympatyczny jegomość.

- To właśnie na niego czekamy - wyjaśnił Karol - i doczekać się nie możemy.

- Ach, więc panowie z nim zamierzacie wyruszyć nad rzekę Humboldta?

- Właśnie z nim. Ja sam kiedyś - mówił Karol - przez krótki czas bawiłem się w poszukiwacza złota w Czarnych Górach w Południowej Dakocie, dlatego zainteresowała mnie praca Nevila.

- A jaki skutek dała pańska zabawa?

- Niezły. Za wydobyte złoto nabyłem farmę w Teksasie, ale przyszły lata suszy i musiałem zrezygnować z gospodarki.

- I co pan teraz robi?

- Wróciłem do traperki, którą się przedtem parałem, i nie żałuję swej decyzji. Przyjemniejszy to zawód od grzebania się w ziemi

- Ale nie w Nevadzie - roześmiał się Bates.

- Toteż nie na polowanie przybyliśmy tutaj, chociaż zdarzyło się nam spotkać stadko antylop. Niestety, nie mieliśmy wówczas broni.

- Antylopy? Podobno niekiedy pojawiają się wczesną wiosną, więc właśnie teraz, gdy trawy jeszcze rosną na łąkach. Ja, odkąd tu mieszkam, nigdy ich nie widziałem.

Skończyliśmy śniadanie, gdy na sali pojawił się Harry Lee.

Witam panów. Co nowego?

- Nic - odparłem - poza przyjazdem pana Batesa, ale o tym już pan wie.

- A tak. Musiałem go tu ściągnąć w bardzo ważnej dla mnie sprawie i wdzięczny jestem za to, że zechciał przybyć.

- Och głupstwo - żachnął się Bates - przecież i ja mam interes w tym, by wreszcie - tu zniżył głos do szeptu - ten Dalton znalazł się za kratkami.

- Interes? - zdziwił się Lee.

- Moralny. Ale niekiedy stanowi on większą wartość od materialnego. Czy nie tak?

- Oczywiście - przytaknąłem. - Całkowicie się z panem zgadzam.

- Pięknie uśmiechnął się Lee - lecz teraz, właśnie w tym interesie, pozwólcie panowie, że na pewien czas zabiorę wam pana Batesa. Mamy pilne sprawy do omówienia. Przepraszam.

Udając dobry humor życzyłem obu owocnej narady. Poszli na piętro. Zostaliśmy sami.

- I cóż Karolu? Jestem coraz bardziej wściekły na Nevila. Już ja mu wygarnę, kiedy się wreszcie tu zjawi.

Karol spojrzał w okno. Po szybach nadal ściekały smużki wilgoci.

- Hm... Deszcz jakby nieco zelżał. Sądzę, Janie, że nieźle byłoby odwiedzić Greiga. Niezbyt daleko, więc bardzo nie zmokniemy, a jeśli nawet , lepsze to od gnuśnienia w tej hotelowej ciszy. Pewnie Greig nudzi się tak samo, jak my, bo w taką pluchę nawet pies z kulawą nogą nie zajrzy do jego sklepu.

Zgodziłem się, nie mając nic innego do zaproponowania.

Nakryliśmy głowy kapeluszami, plecy grubymi kurtami i opuścili bar, nadal pusty. Mżyło paskudnie, ubita dotąd ziemia jezdni zdążyła już gdzieniegdzie zmiękнąć, a nawet zmienić się w błoto.

Po paru minutach dotarliśmy do magazynu Greiga. Nie było tam ani jednego klienta, jak słusznie Karol przewidywał.

- O! - radośnie wykrzyknął kupiec. - W samą porę, w samą porę. Karolu! Witam pana, doktorze! Siadajcie. Cóż za okropny dzień. Od lat nie pamiętam takiej ulewy. Czyżby klimat Nevady się zmienił? W nocy grzmiało i błyskało, że spać nie mogłem, a teraz oczy mi się kleją, bo nic się nie dzieje. Nie, przepraszam, dzieje się! Czy wiecie, że zlikwidowano bandę w okolicachColding? Podobną tę samą, która w nocy napadła na szeryfówkę.

Ku widocznemu rozczarowaniu kupca odparliśmy, że już o tym wiemy.

- Skąd? Od kogo?

Oczywiście nie można było zdradzić nazwiska informatora.

- Barman nam powiedział - odparłem.

- A szeryf? Jak z jego zdrowiem?

- W porządku, rana się zabliźniła. Może sobie spacerować, a nawet jeździć konno. Ale proszę mi powiedzieć, kiedy się pan dowiedział o likwidacji bandy?

Zapytałem tak, ponieważ - gdy byłem ostatni raz w szeryfówce - Crenian o tym wydarzeniu nic nie wiedział.

Cdn.

OŁTARZA MARIACKIEGO

domo. Jedynie wyobraźnia artystyczna wspomnianego już przeze mnie Matejki, zafascynowanego talentem rzeźbiarza, podpowiedziała mu, jak go pokazać, gdy był dzieckiem. Namalował go siedzącego z jedną ręką wspartą na grubaśnej księdze, podczas gdy druga ręka chłopca, prawa, trzyma nóż, którym przed chwilą skończył coś strugać, gdyż na stole leżą drzazgi.

Wiadomo na pewno, że twórczość Stwosza ukształtowała się w królewskim Krakowie, gdzie spędził dwadzieścia najlepszych lat swego życia. Zdobył tu duży szacunek i majątek, założył rodzinę. Zwolniono go nawet z podatków, traktując jako obywatela zasłużonego. Nazywano go mistrzem dziwnie statecznym i pilnym. Kiedy zaś jako pięćdziesięcioletni wrócił do Norymbergi, los mu się odmienił. Tu nazywano go bezecnym obywatelem, ograbiono z majątku, a nawet zamknięto do lochu i napiętnowano na obu policzkach, tak jak czyniono to z ludźmi, którzy popadli w poważną kolizję z prawem. Artysta sfałszował ponoć kwit, chcąc odzyskać majątek stracony wskutek nikczemnego zabiegu finansowego swoich nieuczciwych kontrahentów.

I w Norymberdze pozostawił po sobie wiele prac, rzeźbił i w kamieniu, i marmurze, ale żadne z jego dzieł nie dorównuje ołtarzowi mariackiemu. Dożył sędziwego wieku, ale nie była to starość szczęśliwa i spokojna oślepł. Nie wiadomo dokładnie, kiedy się urodził, ale znana jest data jego śmierci: 1533 r.

Nad dziełem swego zycia Wit Stwosz pracował dwanaście lat, kończąc ołtarz pod koniec lipca 1489. Przedstawił w nim wiele scen z życia Matki Boskiej, ale centralną stanowi wyobrażenie zaśnięcia Marii w towarzystwie apostołów. Jak wiadomo, ołtarz jest poliptykiem, czyli można go otworzyć i zamknąć. Główną scenę obejrzeć można wówczas, gdy ołtarz jest otwarty. Wraz z płaskorzeźbami zawiera ponad 200 postaci i stanowi największy tego typu zabytek gotycki w Europie. Na jego budowę artysta zużył wiele ton drewna. Figury są olbrzymie, sięgają wysokości 2,8 m. Szerokość ołtarza wynosi 11 m, wysokość 13 m. Aby utrzymać taki ciężar w pozycji pionowej i ustawić w świątyni musiał się Stwosz posłużyć całą machiną budowlaną. Tak wielkiej pracy zapewne nie podołałby sam, to oczywiste, że roboty stolarskie wykonali stolarze, architekturę zdobiącą – snycerze według jego projektu. Pracowali też pozłotnicy, albowiem dochowały się w aktach wiadomości na temat ich, no powiedzmy to delikatnie: zachłanności na ten kruszec. O farbie, jakiej użyto, nie wszystko wiadomo, ale na przykład tak zwaną smoczą krew uzyskiwano wówczas z bursztynu, inne barwniki też musiały mieć pochodzenie naturalne.

Ołtarz mariacki został poświęcony w dniu Najświętszej Marii Panny czyli piętnastego sierpnia równo pięćset lat temu...

Żadna chyba podkrakowska lipa – rówieśniczka tamtych użytych na ołtarz w piętnastym wieku nie doczekała takiej rocznicy.

ANNA GRZYBOWIECKA
Fot. **arch.**

Kościół Mariacki

Ociemniały Wit Stwosz z wnuczką, pędzla Jana Matejki (1865 r.)

*) Antonina Domańska (1853–1917) autorka powieści historycznych dla młodzieży m.in. właśnie „Historia żółtej ciżemki", „Paziowie króla Zygmunta". Warto przeczytać podczas wakacji!

Liderzy szkolnego boiska

TRUDNY DO UPILNOWANIA

(Inf. wł.) Uczniowie szkoły nr 1 Koła zawsze potrafili grać „nogę". Futbol jest w „jedynce" niezwykle popularny, bowiem nie ma tam warunków do uprawiania innych dyscyplin. A szkolna reprezentacja należy do namocniejszych drużyn nie tylko województwa konińskiego. Świadczy o tym chociażby zwycięstwo w ogólnopolskim turnieju halowym i parę innych, równie efektownych sukcesów. W zespole występuje kilku utalentowanych zawodników, do których zaliczyć można również Włodka Remisza (na zdjęciu). Napastnik „Płomienia" mimo drobnej budowy ciała świetnie radzi sobie z tzw. górnymi piłkami i większość goli zdobywa właśnie głową. Dzięki skoczności, wspaniałej technice i prędkości jest na boisku bardzo trudny do upilnowania. A biegać potrafi przez cały mecz. Kiedy trzeba nie waha się wrócić po własną bramkę i pomaga kolegom z obrony.

Nie jest indywidualistą. W każdej akcji szuka lepiej od siebie ustawionych partnerów, do których zagrywa piłkę. Uważa, że właśnie futbol jest dyscypliną, gdzie niemal wszystko zależy od poczynań całego zespołu. I chyba ma rację. **(zp**

Fot. **Z. Przybyłowski**

TO JEST SMAK!

DOKOŃCZENIE ZE STR. 4-5

A co mówi sam Witek?

– Nieraz było mi ciężko, wróciłem też ze sporymi zaległościami w nauce i przekonaniem, że nasza międzynarodowa załoga nie za bardzo nauczyła się razem żyć i pracować, jak głosiło hasło rejsu. Jadłem kiepsko, choć wiadomo, że na statkach kuchnia jest świetna. U nas często brakowało nawet herbaty, cukru, dżemu. Ale – zobaczyłem szmat świata, mam wiele mocnych przeżyć i barwnych wspomnień. Znam teraz dobrze angielski i rosyjski. Zrobiłem się pracowity! Przestałem też żyć życiem dziecka – być marynarzem na jachcie to dobra szkoła życia.

Nie polubiłem pracy z żaglami, gdy wiatr i deszcz. Ciągnąć te liny gołymi rękami (rękawice przeszkadzają) aż skóra się zdziera! Palce marzną, gdy przepina się żagle z jednej liny na drugą. Ciężko, ale to jest właśnie ten smak...

KRYSTYNA KLIMOWICZ
Fot. **Witold Czajewski**

UŚMIECH NUMERU

MĄDRALA chwali się Iksińskiemu:

– Na kolonii bez trudu wygrywałem z mistrzem turnusu w szachach i mistrzem turnusu w tenisa stołowego!

– Jak ci się to udało?!

– Bardzo prosto: z mistrzem szachowym grałem w tenisa, a z mistrzem tenisa grałem w szachy...

Sukienka babuni

DOKOŃCZENIE ZE STR. 8

rozróżnić było trudno. Wzór drobniutki bardzo, oczywiście. Nierzadko są to małe kropeczki na jakimś ciemnym tle. Fason jest szmizjerkowaty (la chemise w języku francuskim znaczy koszula, czyli chodzi o fason oparty na kroju męskiej koszuli) – wszywane rękawy, góra przodu zapinana na guziczki, nierzadko zresztą cała sukienka aż do dołu jest zapinana, spódnica lekko się rozszerzająca.

Elegancja tej bardzo zwykłej sukienki ukryta jest natomiast w białych dodatkach. Te dodatki, to w pierwszym rzędzie biały kołnierzyk sukienki. W zależności zaś od konkretnego fasonu mogą być jeszcze i białe mankiety, i białe guziczki, może biały pasek... Bywa, że nosi się w towarzystwie takiej sukienki białe pantofle i białą torebkę. Możliwości białych dodatków jest bardzo wiele i są one rzeczywiście do wyboru. Dla zachowania stylu konieczny jest jedynie biały kołnierz.

Który sprawia, że jest to sukienka naprawdę elegancka, nadająca się na bardzo nawet wytworne letnie okazje. A przecież w gruncie rzeczy – nic wielkiego. I na tym polegała tajemnica naszych babuń, że tak dyskretnie potrafiły się z tymi letnimi sukienkami urządzić. Tajemnica, którą można skopiować.

RIUSZKA

ŚWIAT MŁODYCH

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa, telex 81-36-58. ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-94-57, telex 0315569).

REDAGUJE KOLEGIUM: **Redaktor naczelny** Stanisław Borowiecki tel. 21-15-61, z-cy red. nacz. Ewa Drobnik i Wanda Kobyłecka tel. 29-21-42. **Sekretarz redakcji** Michał Malicki, z-cy sekr. red. Lidia Wojciewska i Grzegorz Burakiewicz tel. 28-25-48. **Kierownicy działów:** Jerzy Dąbrowski (dz. nauki i techniki tel. 21-98-28), Ewa Kosińska (dz. szkolno-harcerski tel. 21-47-06), Teresa Maciszewska (dz. kulturalno-literacki tel. 28-77-21), Zdzisław Przybyłowski (dz. sportowy tel. 21-98-28), Barbara Skórska (dz. listów i łączności z czytelnikami tel. 21-81-13), Wojciech Wróblewski (dz. fotoreportażu tel. 21-98-28). **Graficy:** Marlena Hanke, Szarlota Pawel i Magdalena Piotrowska. **Redaktorzy techniczni:** Danuta Drygalska, Grażyna Pajorkowska i Barbara Zając. **Kierownik korekty:** Barbara Boguszewska; korektorki: Maria Marasek i Irena Ochrymowicz.

Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca. Ogłoszenia przyjmuje Redakcja Wydawnictw Poradniczych i Reklamy, al. Stanów Zjednoczonych 53, 04-028 Warszawa, tel. 13-20-40 do 49, wewn. 403. Cena ogłoszeń 700 zł za 1 cm². Wpłaty za ogłoszenia od osób fizycznych przyjmowane są na konto: Państwowy Bank Kredytowy III OM Warszawa, nr 370015-5757-139-11. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

WYDAWCA: RSW „Prasa-Książka-Ruch", Młodzieżowa Agencja Wydawnicza, 04-028 Warszawa, al. Stanów Zjednoczonych 53. Telefony: Dyrektor 10-41-22, Dział Produkcji Prasowej 10-66-21. Informacji o warunkach i terminach prenumeraty udzielają wszystkie oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz urzędy pocztowe.

SKŁAD: Zakład Poligraficzny Młodzieżowej Agencji Wydawniczej w Warszawie.

Zam. A-312/89. A-49

Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch" w Łodzi Zam. 2432/89

UKAZUJE SIĘ OD 1949 r.
Nr 33 (4647)
Wychodzi:
wtorki, czwartki i soboty
Nr indeksu 35046
PL ISSN 0137-93214

KOMIKS

Romek A'TOMEK 17 ODCINEK

TEKST I RYSUNKI PAPCIO CHMIEL

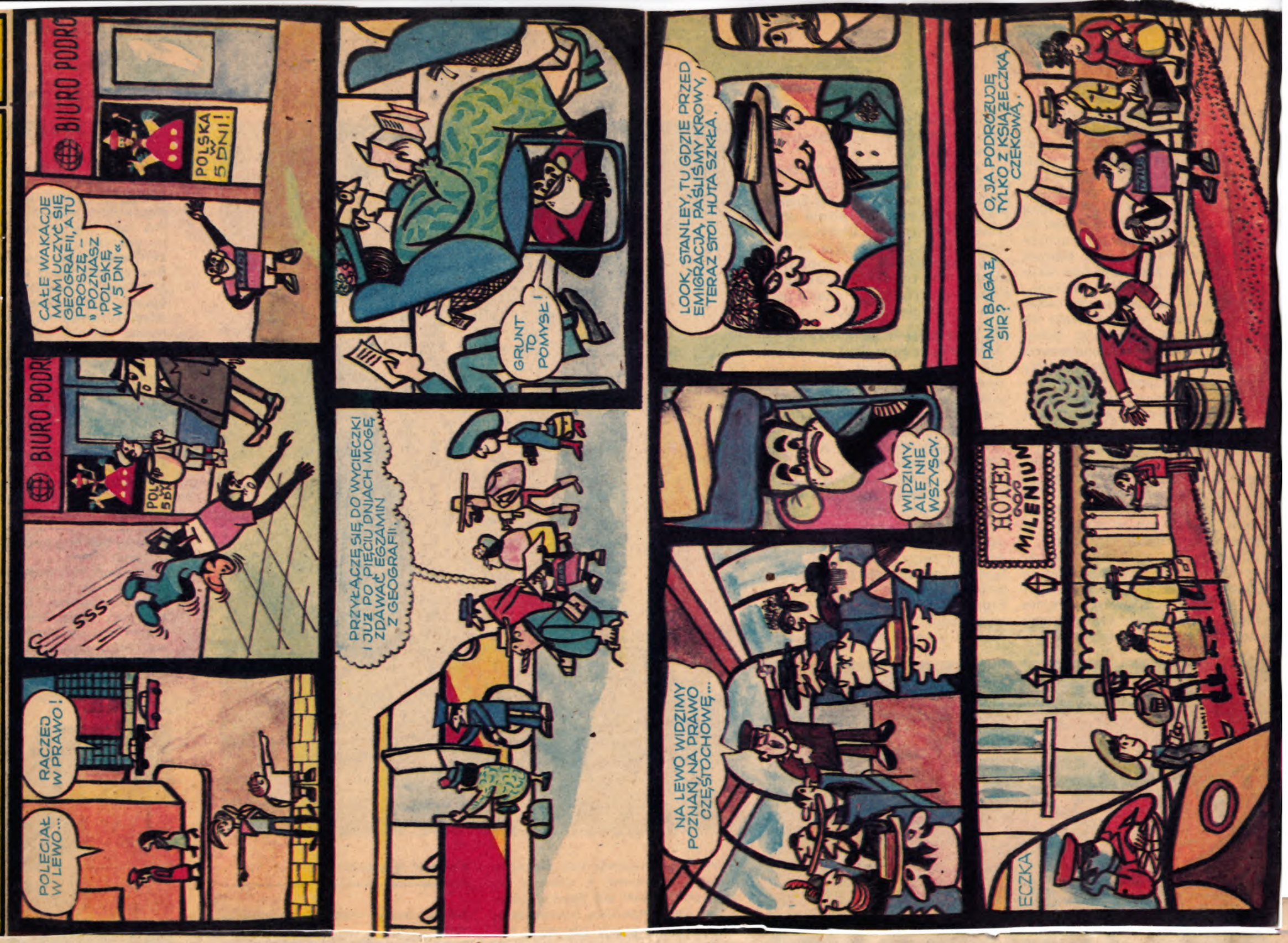

Sukienka babuni

ŚWIAT MODY

Sukienka babuni, to taka sukienka, w jakiej babunia w swej młodości chodziła i w jaką do dzisiaj ubierać się lubi. Czyli sukienka skromna i elegancka zarazem. I jeszcze praktyczna w noszeniu, miła w dotyku – tak, tak, babunie lubią wygodę, a my wcale nie musimy się jej pozbawiać.

Ta miła w dotyku sukienka to oczywiście sukienka bawełniana – żeby się nadawała nawet na najgorszy upał, a i w chłodniejszy nieco letni dzień można ją też na siebie założyć. Jej skromność ukryta jest w fasonie i we wzorze materiału. Najpierw może o wzorze. Jest to wzór szalenie delikatny, dyskretny, nie rzucający się w oczy. Na ogół dwukolorowy, jeśli ich więcej być by miało, to takie jakieś rozmazane, mdłe żeby je

DOKOŃCZENIE NA STR. 7

SIERADZ'89, NASI GOŚCIE I ICH KONSTRUKCJE (6)

PETER ROSS, Wielka Brytania,
prezes Stowarzyszenia Pojazdów Akumulatorowych (Battery Vehicle Society)

– Jestem inżynierem lotniczym i wiem, że najlepszą metodą na wypróbowanie opracowanej przez siebie konstrukcji jest jej osobiste użytkowanie. W 1983 zbudowałem więc pojazd, który nazwałem „obwód próbny", gdyż wszystko dawało się w nim przestawiać – kąty, konfiguracja, rozmieszczenie części itp. Na zawodach na Wyspie Wight w 1983 r. okazało się, że pojazd nie jest źle pomyślany, zacząłem więc dojeżdżać nim codziennie do pracy – 8 km w jedną stronę, a miałem już 52 lata.

Potem zbudowałem następny pojazd na zawody w Hull w Kanadzie, a w 1985 r. zawiozłem swój pierwszy – już produkcyjny model „Trice" – na wyścigi do Milton Keynes. Rok później rozpocząłem jego małoseryjną produkcję.

Ulepszony aluminiowy „Trice" waży 15 kg, zaś zaprezentowany po raz pierwszy w Sieradzu jednoślad – 12,5 kg. Zaprojektowałem również stalowego „Trice'a" do wysyłania pocztą – opracowuję teraz lekką obudowę z nylonowego materiału służącego do pokrywania łatawców.

Moje rowery powoli zdobywają sobie rynek. Na jednym z nich jeździł nawet książę Karol*). Było to w czasie dobroczynnej akcji na rzecz młodych bezrobotnych. Książę zobaczył mnie – a że się wcześniej znaliśmy – siadł bez zastanowienia na Trice'a i ruszył ostro przed siebie. A za nim biegiem cała jego paradna gwardia przyboczna z karabinami, goryle z osobistej ochrony, gdyż wszystko to odbyło się oczywiście poza protokołem, który był wcześniej dokładnie, co do minuty ustalony... **(mu)**

*) Syn królowej Elżbiety II, następca tronu

Jacek Ziółkowski z Bydgoszczy pojechał w Sieradzu na prototypowym pojeździe Petera Rossa z Wielkiej Brytanii. Ta konstrukcja – w miękkiej, składanej osłonie z żółtego dakronu mogącej służyć jako namiot – wystartowała w zawodach po raz pierwszy. Rower – jednoślad o krótkiej bazie – okazał się udany; Jacek osiągnął na nim drugi czas dnia w wyścigu na 30 km

Fot. **J. Dąbrowski**